Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 40.** Leszno, dnia 6. Kwietnia 1839.



Ludwik Osiński.

Zszedł z tego świata dnia 27. Listopada 1838 r. Referendarz w radzie stanu królestwa, członek rady wychowania, członek dyrekcyi teatrów, znakomity poeta i mówca, zasłużony professor literatury w. b. uniw. warsz., ozdobiony od N. Cesarza i króla Alexandra orderem Ś. Stanisława kl. 3. i znakiem nieskazitelnéj służby, a od N. Cesarza i króla Mikołaja orderem Ś. Anny kl. 2. — Urodził się roku 1775 w podlaskiem. — Odbywszy pierwsze nauki w Łomży w szkołach pijarskich, sposobił się w latach młodzieńczych do stanu nauczycielskiego; wypadki i przemiany krajowe, odwróciły go od tego zawodu. — Za rządu pruskiego w r. 1799 wydał pierwsze próby poetycznych prac swoich; a między rokiem 1801 i 1804 tłómaczenie Alzyry, Cyda i Horacyuszów, od razu ugruntowało sławę Osińskiego i postawiło go w rzędzie najznakomitszych ówczesnych pisarzy. Wielu pamięta jeszcze ten zapał, z którym publiczność zajęta wzniosłemi myślami Kornela i pięknym wierszem, jakiego nie słyszała na scenie jeszcze, podniosła na rękach swoich znakomitego tłumacza, i złożyła mu hołd wdzięczności i uwielbienia. — W kilka lat potém, Osiński wymownym głosem uczcił pamiątkę i zasługi zmarłego przyjaciela. Za utworzeniem xięstwa warszawskiego, Osiński powołany do służby publicznéj, objął urząd sekretarza jeneralnego w ministeryum sprawiedliwości, a następnie pisarza kassacyjnego sądu. — W owym czasie przekład Cynny, tragedyi Kornela; drama liryczna Andromeda, kilka wzniosłych poezyi, a szczególniéj oda o Koperniku, mowa miana w towarzystwie przyjaciół nauk na uczczenie pamiątki Fr. Dmóchowskiego, tłumacza Iliady; obrona pułkownika Siemianowskiego, 4. tomy pamiętnika warsz; zbogaciły naszę literaturę i pomnożyły zasługi Osińskiego. — W tymże czasie pełnił obowiązki sekretarza b. towarzystwa przyjaciół nauk. — Upodobanie w poezyi i w sztukach pięknych, skłoniło go, iż opuścił na czas niejaki służbę publiczną, i objął przedsiębierstwo warszawskiego teatru, pod zasłużonym i gorliwym Bogusławskim. — W tym nowym zawodzie, więcéj zważał Osiński na podniesienie i rozwinięcie sztuki dramatycznéj, niżeli na własne

korzyści. — Wystawienie w pięknych przekładach wielu znakomitych dzieł dramatycznych z obcych języków, tudzież oryginalnych tragedyj, komedyj i oper, odznaczyło epokę przedsiębierstwa Osińskiego, połączoną z mnóstwem przykrości, będących skutkiem wysileń, częstokroć nieodpowiednich i niewdzięcznych. — Wtymże czasie, w organizującym się b. Uniwersytecie warsz. zdanie komissyi oświecenia, zgodne z życzeniem całéj publiczności, powoływało Osińskiego na professora literatury; mimo nawału trosk i zatrudnień, przyjął to miejsce i zajmował je przez lat 12, zacząwszy od roku 1818. — Natłok słuchaczów, który od pierwszéj prelekcyi zapełnił najobszerniejszą salę gmachu b. uniwersytetu, nie zmniejszył się aż do ostatniéj; kursów Osińskiego słuchano zawsze z upodobaniem i zajęciem. — Osiński posiadał talent rzadki bardzo, a najpotrzebniejszy dla professora, przywiązania słuchaczy do przedmiotu, który im wykłada, obudzenia w nich współczucia i zapału. — Harmonijny i słodki głos jego, dodawał nowego uroku pięknym myślom i wymownym okresom. — O ile taki nauczyciel mógł podniecić zamiłowanie w literaturze, o ile zachęcić młodych pisarzy do próbowania sił własnych, nad tém rozwodzić się nie potrzeba. — Obok katedry literatury, Osiński był dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych; a jako członek deputacyi, wyznaczonéj do ustalenia pisowni naszéj, gorliwie przyłożył się do ukończenia tak ważnéj i użytecznéj pracy. — Na kilka lat przed zgonem, Osiński mianowany został referendarzem w radzie stanu i miał sposobność użyć wyższych zdolności swoich dla publicznego dobra. — W pożyciu społecznem, Osiński niezmiernie był przyjemnym i ujmującym: dowcip, wesołość, żartobliwość, niezrównany dar opowiadania, czyniły go duszą towarzystw. Owe to przymioty, ów wzniosły talent poety i mówcy, jednały mu serca licznych wielbicieli i przyjaciół. — Przez zgon jego zbyt wczesny jeszcze, bo dopiero wstępować zaczął w pierwsze lata podeszłego wieku, kraj, literatura i towarzystwo ciężką i bolesną stratę poniosły. — Choroba jego trwała przez pięć miesięcy; znosił ją cierpliwie; a w ostatnich dniach przygotował się na śmierć, przyjąwszy sakramenta ś. — Postradawszy, lat temu kilkanaście, 14stoletniego jedynego syna, dziecię najpiękniejszych nadziei, bezpotomnie zszedł z tego świata. Zostawił nieutuloną w smutku małżonkę, która, jak przez ciąg 30letniego pożycia była najprzykładniejszą i wzorową żoną, tak i w ciągu choroby jego, aż do ostatniéj chwili, podejmowała około niego najtroskliwsze starania.

X. Andrzéj Gawroński.

Do Redakcyi Przyjaciela Ludu w Lesznie.

Wyczytawszy w Nrze 2. Przyjaciela Ludu z dnia 14. Lipca r. b. interessujące zapewne każdego rodaka, lecz nader krótkie wspomnienie o X. Gawrońskim, jako uczonym Polaku, bez wyrażenia nawet jego imienia, i jakie było dalsze jego przeznaczenie, znając od dzieciństwa tego znakomitego w naukowym zawodzie, a zasłużonego w kraju i duchowieństwię męża, z względu tego samego, z jakim się Redakcya na początku wspomnionego o nim artykułu wyraziła, poważam się jéj przesłać skreśloną pokrótce wiadomość o jego życiu, o któréj umieszczenie dodatkowe w piśmie swojém, jeśli wola będzie i niniejszy artykuł miejsce znaleść może, upraszam.

Andrzéj herbu Rawita albo Rawicz Gawroński, z szlacheckich rodziców urodzony w województwie dawnem sandomirskiém, we wsi Wielki Piasek, z trojga rodzeństwa poświęcił się stanowi duchownemu. Po odbytych początkowych naukach w Sandomierzu, wyszedłszy z seminaryum, posłany był przez swą rodzinę do Rzymu, gdzie cały naukom, powołaniu swemu odpowiednim, oddany, szczególniéj jednak przykładał się do matematyki, tak dalece, iż po latach 6. pobytu swego w stolicy chrześciaństwa, w językach europejskich biegły, powołany był na professora téj głębokiéj nauki do Wiednia, gdzie ją przez drugie lat 6 publicznie wykładał. — Wróciwszy ztamtąd do kraju, i dawszy się poznać uczonym Ziomkom swoim, przedstawiony monarsze polskiemu w Warszawie, którym był natenczas wysoce umiejący nauki cenić Stanisław August, jako dokładnie posiadającego języki niemiecki, francuzki, włoski i angielski, powołał na swojego lektora, późniéj członkiem komissyi edukacyjnéj mianował; kapituła zaś krakowska w poczet go swój przyjęła. — Wtedy to wypracował owe użyteczne krajowi dzieła, które w artykule Przyjaciela Ludu wspomniane zostały; wtedy należał do grona świetnego tych, co owe uczone obiady czwartkowe monarsze uprzyjemniali, i pomagał tym, którzy wiekopomną ustawę konstytucyjną dla kraju układali. — Po nieszczęśliwym rozbiorze kraju i odjeździe króla do Petersburga, wróciwszy do Krakowa, gdzie w kapitule jako kanclerz katedralny zasiadał, za zmianą rządu, wezwany na urząd konsyliarza gubernialnego do spraw duchownych, przy rządzie nowo w Galicyi zachodniéj zaprowadzonym, bezpłatnie takowy przez ciąg trwania jego sprawował, aby tylko stać się kapitule swojéj użytecznym, wielki wtedy ucisk z powodu zabranych funduszów cierpiącéj; wywiązał się jéj z ufności w nim położonéj, gorliwie w tym nowym dla siebie pracując zawodzie. Powszechnie od swoich kochany, szanowany od obcych, umiał sobie zjednać w czę-

stych z urzędowania wynikłych do Wiednia podróżach, przychylność gabinetu i samego monarchy, u którego wiele dobrego dla kapituły i duchowieństwa wyjednać potrafił. — Wywdzięczając się kapituła krakowska za prace i gorliwe zabiegi, około jéj dobra łożone, wybrała go pasterzem swoim i dyecezyi, po zgonie ś. p. biskupa Turskiego osierociałéj, co stolica apostolska potwierdziła; Cesarz zaś austryacki konsyliarzem tajnym mianował. Wjazd na stolicę biskupią na Wawelu w roku 1805 dnia 5. Maja odprawił. Po odzyskaniu przez waleczne rycerstwo polskie w roku 1809 téj części dawnéj ziemi polskiéj i przyłączeniu jéj do xięstwa warszawskiego, X. Andrzéj Gawroński został senatorem tegoż xięstwa; wiele się przyczynił do prędszego uorganizowania rządu i wojska w nowo odzyskanym kraju, przykładając się znaczną summą z własnéj szkatuły na fundusz formacyi jego, tak skromnie, że o tym czynie nikt dotąd niewiedział. Podczas krótkiego trwania pokoju, powołaniu swemu wierny, nic niezaniedbał, coby do dobra owczarni, któréj pasterstwo miał sobie oddane, przyczynić się mogło; odbywał w jéj interessach częste podróże do Drezna i Warszawy, zasiadał na sejmie w izbie wyższéj, wizytował kościoły, poświęcał nowych kilka, między temi świeżo odnowiony u Ś. krzyża na Łyséj górze, niegdyś najdawniejszy przybytek pański w Polsce. — Rok 1813 nowe sprowadziwszy na kraj klęski, nowych wymagał wysileń i ofiar; wtedy rząd cały kraju, w małym obrębie ziemi krakowskiéj zamknięty, radą i pomocą zasilał, stu kilkudziesiąt jezdzców na wsparcie wojska wystawił; na ostatek o byt zagrożonéj wtedy ojczyzny stroskany, wiekiem obciążony, chorobą dotknięty, tegoż roku żywot pełen pracy i zasługi zakończył. Powszechnie żałowany, jako mąż niezłomnego charakteru, prawy Polak, przykładny pasterz, pełen światła, nauki, znajomości ludzi i świata, przy przeniesieniu zwłoków do kościoła katedralnego, którego rządy lat 8 piastował, ostatnią posługę odebrał od niewygasłéj pamięci X. Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojsk polskich, który w orszaku świetnego sztabu swego, wraz ze wszystkimi ministrami i senatorami xięstwa warszawskiego, w Krakowie natedy zgromadzonymi, i zebranem wojskiem, pogrzebowi jego assystował. Nieprzewidywał zapewne wtedy waleczny xiąże, iż w kilka miesięcy późniéj, swe zaszczytne życie, jako marszałek państwa francuzkiego, na łono wieczności los zawistny przenieść mu każe. Pokój i cześć popiołom obudwóch!

Pisałem w Krakowie 14. Października 1838 r.

Jeden z czytelników stałych P. L.

Architektura.

(Ciąg dalszy.)

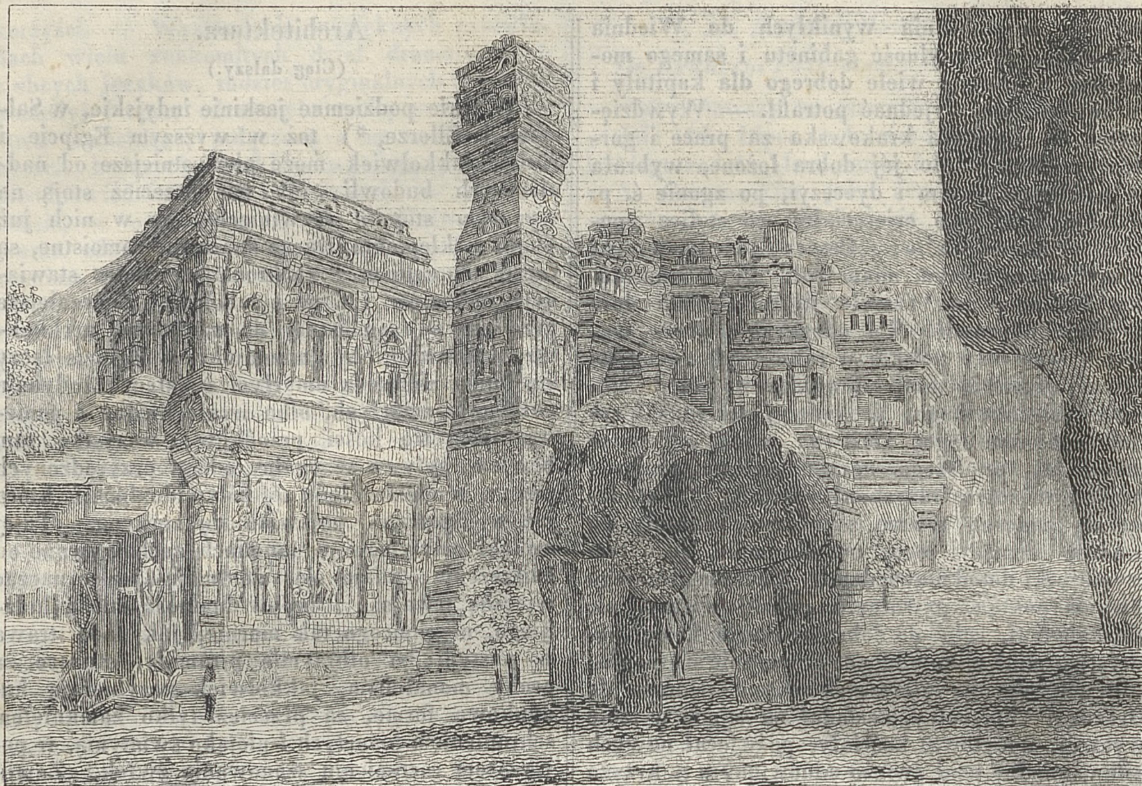
Wielkie podziemne jaskinie indyjskie, w Salsette i Ellorze, *) toż w wyższym Egipcie i Nubii, jakkolwiek może pierwotniejsze od nadziemnych budowli, dla nas przecież stoją na wyższym stopniu rozwinięcia, bo w nich już ściany i sklepienia, tracąc znaczenie samoistne, są raczéj otoczeniem i zachroną wewnątrz stawianych sphinxów i t. p. symbolów. Znaczniejsze przejście od samoistnéj do użytkowéj architektury stanowią groby; mianowicie w Egipcie łączy się budownictwo z umarłym światem. Indyanin pali ciała zmarłych, albo wcale niedba o poniewierające się kości przodków; wszystko tam bowiem, spływa w ogólny odmęt przyrodzonych rzeczy, a niema śladu téj indywidualności, która już u Egipcyan pojawiać się zaczyna. Tutaj zwłoki człowiecze w mumiach zachowywane od zniszczenia, zdaje się, że mają już oznaczać wieczną trwałość i indywidualność ducha ludzkiego, nieginącego tak marnie, jak lada trawa w pustyni; a olbrzymie piramidy, służące za groby monarchom, jakkolwiek przybierają budynkową formę, są przecież tylko zamkniętem schronieniem umarłych i niejako świątynią, w powyższem rozumieniu szanowania zwłok. Zamurowane przed żywemi ludźmi, miały one wewnątrz ganki, oznaczające niby rozliczne koleje i zmiany, które dusza nieboszczyka przebywać musi. Architektura więc przestaje w nich być samoistną, a zaczyna użytkową formę przybierać; jednakże piramida, zamykająca się w sobie bezpośrednio

---

*) Cztery mile na północ miasta Aurungabad, stolicy Prezyd. Bombay, w Indyach, w górzystéj i smutnéj okolicy, leży wieś Ellora, sławna świątynią wystawioną na obrazku. Była ona przez wiele wieków nieznaną Europejczykom, którzy ją dopiero, po zupełném ujarzmieniu Marattów przez Anglików, zwiedzać i podziwiać zaczęli, wstępując w ślady kapitana Sykes, co pierwszy do niéj wszedł.

Jedenaście podwoi ogromnych prowadzi do wnętrza bogów mieszkania długiémi krużgankami, wśród słupów w różnych porządkach ustawionych; wszędzie unoszą się nad głowami widzów mocne w skałach wykute sklepienia, wsparte na wolno stojących filarach, kończących się w głowy słoni, tygrysów i innych zwierząt. W dwóch obszernych salach podziemnych, wprawiają w podziwienie, tak pięknym swym rysunkiem, jako też kolorytem, dwa zupełnie dobrze zachowane obrazy, w których porównaniu, zabytki sztuk tego rodzaju z Egiptu nam znanych, w stanie dziecińśtwa znajdować się zdają. Niepojętą jest rzeczą, że gdy różnego kształtu rzeźby przez wpływ powietrza i wilgoci, znacznie ucierpiały, wspomniane dzieła pendzla, zębem czasu uszkodzone nie zostały.

Wszelkie starania uczonych, w celu oznaczenia czasu, w którym ręka ludzka takie postwarzała dziwy, były dotąd nadaremne. Najdawniejsze historyi indyjskiéj źródła, księgi Braminów, sięgające 3000 lat przed Chrystusem, zowią świątynię w Ellorze dziełem przodków. Podług podania Braminów, był sam Wischnuh, używszy do tego rąk wszystkich ludzi, świątyni téj budowniczym.



Świątynia indyjska w Ellorze.

od podstawy do wierzchołka i niemająca ani drzwi, ani okien, zatrzymuje jeszcze nieco samoistnego kształtu. Późniéj dopiero, gdy zaszła potrzeba stawiania świątyń dla zachrony posągów i zgromadzającego się ludu, zaczęto też owe użytkowe budowle stósownie upiększać i symboliczne nadawać im znaczenie, wedle celu, któremu służyły. Niemożna tu więc było poprzestać na saméj symetryi i proporcyi budynkowéj, ale należało im nadać pewną niby organiczność, pewną zrosłość członków. Potrzeba kazała zachronę taką ustawić ze słupów, ścian, belek i dachu; ale te belki i słupy w ściśło użytkowem budownictwie, nim na właściwe sobie miejsca przyjdą, są jeszcze sobie wszystkie podobne; dopiero we wywiązanym budynku pokazują swoje różne przeznaczenie. Wierzch n. p. i spód słupa nienosi jeszcze bliższych oznak i z obuch stron jednako jest urznięty. Człowiek lub roślina, ma także swój spód i wierzch, ale organiczny; pierwszy ma nogi i głowę, druga ma korzenie i koronę, czyli zakończenie właściwe, niedające się dowolnie stawiać na opak. Architektura więc, chcąc piękne wznieść dzieło, musi brać w pomoc doskonalsze, organiczne postaci, a ustawiając je wedle potrzeby symetryi, nadać im pewne znaczenie symboliczne i związek niby organiczny. Tu jest, przeto, punkt, w którym z jednéj strony, samoistna dotąd architektura organiczne formy w regularność modyfikująca, do użytkowości przechodzić musi, a z drugiéj strony, ściśło użytkowe formy, ku organicznéj postaci zbliżać się mają — i oboje, w tém swojém zejściu, stanowić dopiero piękną, klasyczną architekturę. (Dalszy ciąg nastąpi.)

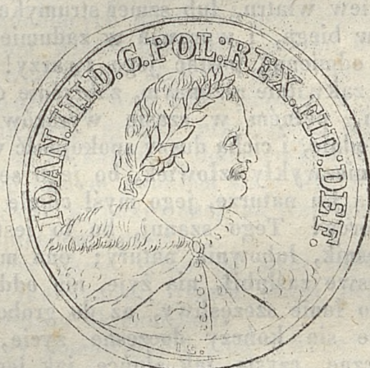
---

220. Medal z gabinetu E. hr. Raczyńskiego.

W środku wielkiego medalu głowa króla w wieńcu laurowym, nad nią korona, w około tego w 5 wierszach otokowych napis: JOANNI III. REGI POLONIARUM, ORTHODOXO FIDEI DEFENSORI, EXERCITUUM CHRISTIANITATIS GENERALISSIMO DUCTORI, TURCARUM DEBELLATORI, TARTARORUM FUGATORI, VIENNAE AUSTRIAE OBSIDIONE TURCICA A(nno) 1683. DIE 12. SEPT (embris) LIBERTATORI, HUNGARIAE RECUPERATORI, POLON (iae) CONSERVATORI, M (agni) D (ucis) MOSCOV (iae) ET REIPUBL (icae) VENETIAR (um) AD BELLUM COMUNE INDUCTORI, PATRI PATRIAE, DIVO, PIO, JUSTO, FELICI, AUGUSTO SACRUM; t. j. Janowi III., król. polskiemu, prawowiernemu obrońcy wiary, wojsk chrześciańskich najwyższemu wodzowi, gromicielowi Turków, zwycięzcy Tatarów, Wiednia austryackiego od oblężenia tureckiego r. 1683 dn. 12. Września oswobodzicielowi, odzyskującemu Węgry, zbawcy Polski,









220. 221. *Medale z gabinetu E. hr. Raczyńskiego.*

W. xiążęcia moskiewskiego i Rzplitą wenecką do wspólności wojny przywodzącemu, ojcu ojczyzny, ubóstwionemu, pobożnemu, sprawiedliwemu, szczęśliwemu, najjaśniejszemu poświęcono.

Pod ramieniem króla litery J. H. (imie mincarza gdańskiego, Jana Höhn). Na krańcu napis: INGENTIBUS AUSIS QUO VIS MONSTRAT ITER A (nno) 1684; t. j.: Do niezmiernych przedsiewzięć wszędzie wskazuje drogę r. 1684.

Strona odwrotna. Trzy orły, t. j. polski, moskiewski i cesarski. Pod orłem polskim lew wenecki skrzydlasty. U góry jest księżyc rogami nadół obrócony z napisem: DONEC AUFERATUR; (P. 71), to jest: Póki niebędzie zniesion. Pod lwem weneckim są gęste obłoki, pod niemi 4 miasta z napisami: CONST (antinopol) BUDA. CAND (ia) CAM. N. (Kamieniec).

Medal 221.

Popiersie króla z boku widziane, laur na głowie; odzienie, delia na ramionach zawieszona. Napis: JOAN (nes) III. D (ei) G (ratia) POL (oniae) REX FID (ei) DEF (ensor); t. j.: Jan III. z Bożéj łaski król polski, obrońca wiary. Strona odwrotna: Jowisz gromy rzucający na księżyc. Napis: OHE RUIS OLYMPO PRAECEPS IN TARTARA; t. j.: Otóż z Olimpu do piekieł spadasz.

U dołu strony głównéj są litery J. S. (Jan Schmelzinger, mincarz).

Miłośnik natury.

Jak zgłębienie ducha, wyświecenie najskrytszych jego tajników, tak też wskazanie, z jakich źródeł powstaje w człowieku miłość ku przyrodzie i nieledwo synowskie do niéj przywiązanie, jest niepodobném, za sferą pojęcia ludzkiego leżącém. To tylko wiemy, że ta miłość jest wszystkim wrodzoną; i zdaje się, jak gdyby nieba, przeznaczając najszlachetniejszy swój utwór na nieskończone boleści, męczarnie, pozwoliły mu czerpać balsam słodyczy, balsam łagodzący najokropniejsze smutki w téj, w pośród któréj życie odebrał, wzrósł i istnieje; bo tylko na łonie natury żyć można szczęśliwie, chociaż może tylko wtedy, kiedy będziemy tkliwymi na jéj wdzięki, kiedy jéj piękności czuć i umysłowo pojmować będziemy; słowem, gdy tę miłość wrodzoną wykształcimy. Czemuż atoli tak mało wykształca smak swój ku przyrodzeniu; czemuż tak mało uprzyjemnia sobie to życie nudne, przykre, tysiącem smutków zatrute? Albowiem nie myśl, żeby te tłumy, wijące się codzień około siebie,

znały wdzięki przyrody. Oni już dawno przytłumili ten płomyk swéj duszy, który zająwszy się kiedyś w pożar miłości uczucia, miał być wieńcem i ozdobą ich życia. Jedni zaślepieni blaskiem swoich bogactw, im tylko dni swoje święcą; inni za podłym ubiegając się zyskiem, z wszelkiego wyzuci uczucia, w zimnych spekulacyach zagrzebali swego ducha. Najmniejsza strata koni ich dręczy; ciągle niepokojeni bojaźnią o całość swych posiadłości i o nowych nabycie, prowadzą nudne — milionem trosk i zgryzot zatrute życie. Poezya niema żadnego dla nich powabu, owszem odrazę budzi, bo rafinując ciągle, czuć nie umieją! Są też to martwi ziemi prozaiści, sobie częstokroć przykrzy, a nierównie więcéj dla tych, wśród których żyją. Kupiec nie dba, czy najroskoszniejsze przebywa kraje, czyli też płaszczyzny długie, szerokie, jednostajne, jak jego myśli, ogołocone z wszystkich darów przyrodzenia; a gdy go spytasz, gdzie i kiedy się mianuje szczęśliwym, odpowie ci oklepaném przysłowiem: ubi bene, ibi patria. A przecież i on spoczywając jeszcze na dłoniach niańki, rozczulał się na śpiewy słowika, ściskał z dziecinném uniesieniem różyczkę rozkwitającą, płakał na widok zranionego lub w boleściach zostającego człowieka. Dziś patrzy na wszystko okiem oziębłem, bez serca, jak marmurowy posąg wśród kwitnącego ogrodu! Urzędnik, który niegdyś w szkołach deklamował, a może sam składał wiersze, myśli on dziś jeszcze o nich? przechadzek, które po skończonych pracach, codzień odbywa, po przyległych miasta dolinach, czy piękność natury przyczyną? Bynajmniéj! on to tylko czyni dla zwyczaju, dla zdrowia. Szlachcic przebywający na wsi, żyjący w naturze, czy sądzisz, że on wśród ciepłego Maja wieczora opuści dom i zatrudnienia zwyczajne, i w chłodzie zielonego gaju, przy strumieniu, rozczuli się na moment śpiewaniem ptaków, rozweseli widokiem odrodzonéj przyrody? O bynajmniéj! Ukończywszy swe prace, woli on się zamknąć w owym posępnym pokoju, i z nudów zajrzeć w gazetę, żeby się dowiedział, jak wysoką jest cena zboża, czy wełna popłaca? a gdy go ścieśnione mieszkania powietrze zmusi do wyjścia na podworze, zatli sobie fajkę — zasiędzie przed swoim dworkiem, a słysząc nucącego słowika, będzie jutro pogoda, bo słowik śpiewa, rzecze, i zaraz wraca do mieszkania, żeby przynieść żonie tę wielką nowinę! Ow malarz, co spocząwszy na skale, z któréj na okolice widok przepyszny, przenosząc na papier jéj wdzięki, i on tego nieczyni z miłości ku naturze, lecz tylko z przywiązania do swojéj sztuki, a częstokroć jedynie dla zysku.

Tak dalece ta żądza nieszczęsna opanowała ludzi, że dla niéj wolą pędzić życie niewolnicze, nudne i przykre, niż wykształcać ten przymiot ducha, który jest najszlachetniejszą częścią człowieka, który mu wystawia obraz raju, osładza i uprzyjemnia jego ziemską pielgrzymkę i nakoniec łączy go z Stwórcą! Więc niema na świecie prawdziwych miłośników przyrody, może mnie kto zapytać, wszakże temu zdaniu przeczy doświadczenie. O są oni, pośpieszam z odpowiedzią, ale liczba ich nader, niestety! jest mała. Są to gwiazdy wśród zachmurzonego nieba, gdzie niegdzie tylko i słabo błyszczące. Trzeba ci wprzód na tysiącach smutne i bolesne zrobić doświadczenie, aż przecież nakoniec powątpiewającemu zupełnie, zaświeci gdzieś zorza nadziei, i ujrzysz człowieka, którego tak długo szukałeś, a znaleść nie mógłeś. Patrz! tam wpośród tych skał niebotycznych, których widok w tak wielu odrazę budzi, błądzi samotnik zamyślony! Wzrok jego namiętny, raz w niebie, drugi raz po dolinach i wodach się gubi. Każdy powiew wiatru, lub szmer strumyka, zatrzymuje go w biega, i wprawia w zadumienie. — Jakżeż odmienna postać jego twarzy! raz rumieńcem zakwitnie różannym, zabłyśnie okiem namiętném, pełném w czasie wyrazów, to znowu pobledníe, i cichą duszy spokojność wyraża! To jest niezwykły człowiek, bo jego serce pała miłością ku naturze, jego myśl ciągle bawi u tronu Stwórcy! Tego szanuj, bo to jest prawdziwy miłośnik, lubownik natury; ona mu matką, jéj dni swe zaślubił, nią żyje, nią oddycha, na jéj tylko łonie szczęśliwy, aż do grobowego głazu, gdzie się kończy doczesne życie, a poczyna wieczne, czyste, jak słońce, jak jego dusza! — Ha! jakież jego szczęście! może wielu zawoła z niecierpliwością, że się cieszy chwil kilka, jak dziecko, balsamem natchnienia, a pokrótce potém, — przybywszy w grono ludzi, rozpacza, jak zbrodniarz? Tak, rozpacza, lecz nie nad tém, że on jest wieszczem, ale że w pośród ludzi, samotnik, że ludzie jego myśli zgłębić i podzielać nie mogą; rozpacza jak anioł, któryby z towarzystwa niebian zstąpił na czas niejaki pomiędzy śmiertelnych, i wśród nich żyć był zmuszonym! Lecz otoczcie go gronem podobnych mu istót, a ujrzycie, jak ta rozpacz zamieni się w najuroczystsze wesele!

Jako więc zaniedbanie natury jest dla wielu źródłem nieskończonych, nieprzeliczonych zgryzót, tak to zjawisko tém okropniejszém dla prawdziwego jéj miłośnika, który patrzeć musi na miliony młodych istót, które osnuwając się już wcześnie łancuchem suchych form i reguł, wpośród nich skamienieją i zamartwieją, jak zimne lody; zamiast, żeby się poili zawczasu wdziękami pierwszéj ich piastunki, i późniéj dla siebie i innych stali się roskoszą. Starzec zgrzybiały, dla którego już nic nie ma powabu, możeby natenczas słodsze przepędzał chwile, — a żegnając tę, w któréj widział obraz prawdziwego szczęścia, — z szczytniejszemi nadziejami do zimnéj zstępował mogiły; zbrodniarz uczuł szkaradność swego rzemiosła; słowem, piękność roz-

kwitająca na niwie ziemskiéj, — nie jednąby zniosła przywarę, — a już nie tylko w duszy wybranych przemieszkując, wróciła choć w części ów raj utracony! *A. B.*

Dobosz. *)

(Powieść z r. 1740 p. Wł. Wojcickiego.)

Było to dnia 4. Października roku pańskiego 1741. Chmury księżyc zaciemniły, gdzie niegdzie gwiazda jaśniała, wiatr poświstywał i wznosił tumany piasku na szerokim gościńcu. Szumiały gęstém liściem rosochate lipy z wierzchołkami wieńcowemi, ocieniając dworzec szlachecki, którego ściany jak zaspa śniegu, bielały pomiędzy zielonem liściem lipy, żółtawéj topoli, wierzby, z których już liść zlatywał, i kilku smereków, zdobiących niewielki podwórzec.

Choć szum wiatru był silny, już od bramy i parkanu wchodzący słyszeli gwar przytłumiony; zlewało się weń kilka głosów, a jeden był wydatniejszy, gruby, przeciągły, mocny: znać pana, co rozkazywał domownikom i czeladzi. Przed samym gankiem stały trzy brodzkie bryki, dwie wypakowane, na trzecią ładowano z pośpiechem sprzęty.

W jedném oknie tylko od sieni błyskało słabe światełko latarni, reszta okien pokryta okutemi w żelazo okiennicami.

Na twarzy domowników znać trwogę: stali rzędem podstarości, gajowy i karbowy; kilku z czeladzi znosiło na bryki tłomoki i kufry. Aż w trzeciéj izbie od sieni stał pan domu, przy łożu choréj małżonki; lampka jeno oświecała tę sypialnię.

— Już jedziesz Jędrusiu? ozwał się głos słaby niewieści z łoża.

— Odjeżdżam! zabrzmiały słowa w odpowiedzi pana domu; odjeżdżam zaraz, bo on prędko przybędzie: niech go przyjmą najuprzejmiéj. Wydałem już polecenie gospodyni; ty się, droga Rozalio, nie martw; nie będzie się mścił nad bezbronną niewiastą: polecam cię Bogu i Jego świętéj opiece! Gdybym został, zmazałby pewnie goralską siekierę we krwi mojéj, chociaż Bóg widzi, żem mu nigdy drogi nie zachodził.

Tu upadł na kolana, złożył ręce pobożnie, modlił się krótko, lecz szczerze, i z wymówioném Amen powstał, ucałował chorą małżonkę, i wyszedł prędkim krokiem do sieni.

Gdy mu pokłon oddawał podstarości, gajowy i karbowy:

— Zrobić wszystko jak kazałem, wyrzekł surowo; siadł do pierwszéj bryki; a gdy woźnica, biczem znak krzyża przed końmi zrobiwszy, dosiadł na kozieł, zaturkotały koła trzech bryk ciężkich i prędko z przed oczu patrzących zniknęły.

— Trzeba i o sobie pomyśleć, rzekł gajowy z obawą; pan z domu ucieka daleko, my mamy bór blisko, to nogi zapas i w nogi.

— Ja nie głupim uciekać, odpowiedział karbowy: bo gorzéj byłoby, jakby złapali na drodze, daliby dopiero kwaśnego bigosu skosztować.

— A to czemu? zapytał z większą bojaźnią pierwszy.

— Dla czego? to oczywista! Sądziliby, że biegniesz, by sprowadzić towarzyszów na nich, a tak prędko porachowałbyś gruszki na wierzbie.

— Róbta, jak się wam podoba, wyrzekł sędziwy podstarości; ja się z miejsca nie ruszę: nie taki on zawsze okrutny, jak gadają ludzie; nie raz chudzinę zapomógł. A wreszcie, cóż ma się mścić nad siwemi włosami, i biedną panią, co w niemocy leży. Uciekajta tchórze, ale nikt nie powie, że stary Junosza odbiegł ze strachu dobréj pani wtedy, gdy mu pan, dozór nad całym domem, i panią opiece troskliwéj powierzył.

Ledwie tych słów domówił, usłyszano świstanie: niedługo przybiegł chłopak wybladły z przestrachu: „już idą, już idą!“ zawołał drżącym i cichym głosem, i pobiegł na poddasze do znajoméj kryjówki: za nim pośpieszył bojaźliwy gajowy.

Zawyły psy na podwórzu, a z poświstem wiatru, dochodziły coraz bliżéj słowa znanéj piosnki rozbójników:

Na wysokoj polonyńci y zrodiły ryżki,
Ta cy pidem pane brate, na wesni w opryszki?
A wrobimo topirczyki ta z samoji stały.
Ta nekłyczmo my nikoho, pidemo my samy!
A wrobimo topirczyki ta z samoji midy.
Jak naskoczym u wikomi, ta zaznajem bidy!

Podstarości wyjął z zanadrza szkaplerz z relikwią, pocałował go ze łzami, a żegnając drżącego karbowego, wyrzekł:

— Jeżeli Bóg da wyjść cało, niezapomnę Waszeci, żeś mnie nie odstąpił w takiéj godzinie. — I zaraz porwał latarnię, i wyszedł na ganek.

Do sześćdziesiąt opryszków stało na podwórzu zbrojnych. — Jeden wyższy nad wszystkich głową, szedł naprzód, i właśnie gdy wstępował na schody podniesionego ganku, spotkał starego Junoszę, który zdjąwszy czapkę, uścisnął mu kolana i przyświecał w pomroku. Ten hołd starca, podobał się zbójcy; dał znak swoim, żeby się zatrzymali, a dobywszy pistoletu z zapasa, w którym dwie pary jaśniały bogato na-

---

*) Wyjęta z Noworocznika warszawskiego pod napisem: *Niezapominajki*, wydanego przez Karóla Korwella. Książeczka ta, pod typograficznym względem, pomiędzy polskiémi tego rodzaju pismami, nie mająca sobie równéj, zawiera poezye Zielińskiego, Korsaka, Kamińskiego, Nowosiłskiego, Jachowicza, Bielowskiego, obok kilku prozą napisanych artykułów, z których powieść historyczną, znanego światu polskiemu z prac swoich autora klechd, czytelnikom podajemy. (*Zob. P. L. rok trzeci, tom I. N.* 5.)

bijane srébrem, i odwiódłszy kurek, wszedł sam za przyświecającym Junoszą.

W sieni brwi zmarszczył, ujrzawszy wysokiego karbowego, i już wziął go na cel, gdy podstarości wyrzekł: że to jest domownik i pomocnik jego. Uśmiechnął się Dobosz, gdy ten mu nizki oddał pokłon i wszedł do pierwszéj komnaty.

Stół już był nakryty, zastawiony wódkami, miodem, wędlinami i nabiałem. Gospodyni, zostawiona przez pana domu, chyżo się krzątała, a dwie dziewki, wkrótce przyniosły ogromne baranie pieczenie, świeżo z rożna zdjęte, i upieczoną na węglach kukurydzę.

Spojrzał z radością Dobosz na te przysmaki górali Rusi, a zdziwiony uprzejmością, wesoło rzekł do gospodyni, głaskając pod brodę:

— Dobre! dobre! na majesz za to! — i odjąwszy z kapelusza sznurek, na który nawlekał zdobyte złoto, zsunął trzy sztuki, i darował już daleko spokojniejszéj niewieście.

— A de wasza pani?

Gospodyni wskazała sypialnią, a opryszek, zostawiwszy przy stole swoich towarzyszów, wszedł sam z gospodynią.

Pani Karpińska była bliską rozwiązania. Poznał stan cierpiącéj, a uchyliwszy kapelusza:

— Ne bijte sia pani, my wam żadnyj szkody ne zrobimo, rzekł, i na palcach z cicha idąc, powrócił do swoich.

Gospodyni została: wkrótce pani powiła syna. Byłto on sławny późniéj śpiewak Franciszek Karpiński. Płacz tego niemowlęcia, zwiastun jego przyjścia, mięszał się z nutą zbójeckiéj pieśni, bo rozochoceni opryszki i podpili, piosnką radość ogłaszali, jakby witając urodzenie wieszcza.

Dobosz, uwiadomiony o urodzonym synie, za zdrowie jego spełnił szklankę okowity, i prosił matki, aby na pamiątkę, dziecię jego imieniem nazwała. Przyrzekła mu wtedy z bojaźni, ale pobożna niewiasta wolała grzech złamanego słowa przyjąć na sumienie, niżeli dziecię ulubione, imieniem Alexego nazywać, tém imieniem, które nosił straszny i groźny w okolicy zbójca.

We dwadzieścia lat późniéj, taż sama gospodyni, uczyła wnuczęta swoje ulubionéj piosnki:

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z moją Justyną,
Słodkie pędził wieczory:

którą młody panicz, jak nazywała, napisał, — a ma on głowę nielada.

Na gołéj skale śnieg w bryle leżał, a na nim orzeł, szerokim dziobem i ostrym szponem rozdzierał zdobycz złowioną. Na nagiéj skale, poniżéj trochę, na mchu zielonym stał goral, wzrok przenikliwy puścił na drogę stromą, wązką i krętą, co szła od strony węgierskiéj. Tak stał spokojnie, że kto nań spojrzał zdala, nie widział człeka, lecz raczéj drzewo.

Zdala w zakręcie coś zamignęło; goral dotąd nieruchomy, skrył się nagle po za bukiem. Czy to nagłe poruszenie, czy łoskot broni, co miał przy sobie, zestraszył orła ze skały. Zaszumiał szerokiém skrzydłem spłoszony, rzucając ścierwo, i tak prześpiewał w polocie:

„Za tém drzewem siedzi zbójca, chciwém
„okiem patrzy wciąż: czy nie zoczy podróżnego,
„by mu zdarł bogaty trzos! Po zapasem bły-
„szczy srebro, co utaja broń straszliwą! Nie
„ulecę jeszcze tyle, by nie doszedł mój tu głos,
„a podróżny zubożony, na kolanach będzie bła-
„gał, by mu życie choć darował.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Doniesienie literackie.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.